

„CIEMNOŚĆ WYBACZA BŁĘDY”.



THE
Science
OF
TEMPTATION

DYLOGIA SCIENCE #1

JULIA POPIEL



Copyright © 2023
Julia Popiel
Wydawnictwo NieZwykłe
All rights reserved
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja:

Anna Adamczyk

Korekta:

Katarzyna Chybińska

Karolina Piekarska

Katarzyna Olchowy

Redakcja techniczna:

Paulina Romanek

Projekt okładki:

Paulina Klimek

Druk i oprawa:

Abedik S.A.

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8320-981-4

JULIA POPIEL

**THE SCIENCE
OF TEMPTATION**

DYLOGIA SCIENCE #1

OŚWIĘCIM 2023

OSTRZEŻENIE

Treść książki przeznaczona jest wyłącznie dla dorosłych odbiorców. Niektóre z zachowań bohaterów są niemoralne, a poszczególne sceny mogą wzbudzić poczucie dyskomfortu wśród wrażliwych czytelników. Przedstawione w powieści wydarzenia to wykreowana przez autorkę fikcja literacka i nie powinny one stanowić wzoru do naśladowania.

Zgaś światło. Właśnie rozpoczął się wykład z diabłem.

*Dla wszystkich, którzy wciąż nie znaleźli w sobie
odwagi do przekroczenia własnych granic.*



PROLOG

Kodeks zasad etycznych i postępowania psychologów¹

PREAMBUŁA

[...] Niniejszy Kodeks etyki zawiera powszechny zestaw zasad i standardów, na którym psychologowie opierają swoją pracę profesjonalną oraz naukową.

¹ Tłumaczenie fragmentów dokumentu *Kodeks zasad etycznych i postępowania psychologów* z dnia 1 czerwca 2003 r. ze zmianami obowiązującymi od 1 czerwca 2010 r. i 1 stycznia 2017 r., sporządzonego przez Amerykańskie Towarzystwo Psychologiczne, tłum. Mateusz Grzywa (przyj. red.).

Rozwój dynamicznego zestawu etycznych standardów postępowania psychologów w odniesieniu do ich pracy wymaga osobistego zaangażowania oraz nieustających wysiłków, by działać w sposób etyczny; by do etycznego zachowania zachęcać studentów, podopiecznych, pracowników oraz kolegów; oraz by konsultować problemy natury etycznej z innymi zainteresowanymi.

Rozdział 3: Relacje międzyludzkie

3.05 Relacje wielokrotne

(a) Relacja wielokrotna powstaje, gdy psycholog wchodzi w profesjonalną rolę z osobą i (1) równocześnie odgrywa wobec tej samej osoby inną rolę [...].

Psycholog powstrzymuje się od wchodzenia w relację wielokrotną, jeżeli można zasadnie przewidywać, że ta relacja wielokrotna zaszkodzi obiektywności, kompetencjom lub skuteczności tegoż psychologa w wykonywaniu jego profesjonalnej funkcji, lub też zachodzi ryzyko, że osoba, z którą jest w relacji profesjonalnej, będzie narażona na wykorzystanie lub szkodę.

[...]

(b) Jeżeli psycholog uzna, że ze względu na nieprzewidziane czynniki powstała potencjalnie szkodliwa relacja wielokrotna, to podejmuje rozsądne kroki, aby rozwiązać tę sytuację w najlepszym interesie osoby, której ta dotyczy, oraz z jak najdokładniejszym zastosowaniem się do Kodeksu etyki.

3.08 Relacje wykorzystujące

Psychologowie nie wykorzystują osób, nad którymi sprawują nadzór, które ewaluują lub nad którymi mają inną władzę, na przykład w relacji z klientami/pacjentami, studentami, podopiecznymi, uczestnikami badań oraz pracownikami.

Rozdział 7: Edukacja i szkolenie

7.07 Relacje seksualne ze studentami i podopiecznymi

Psychologowie nie wchodzą w relacje seksualne ze studentami i podopiecznymi ze swoich wydziałów, placówek albo ośrodków szkoleniowych; lub nad którymi mają lub prawdopodobnie będą mieli władzę ewaluacyjną.



ROZDZIAŁ PIERWSZY

helvete (j. szwedzki) – piekło¹

– Cześć, Herman – mówię, zatrzymując się przy słynnej rzeźbie przedstawiającej Hermana B. Wellsa, pierwszego rektora Uniwersytetu Indiana, dzięki któremu uczelnia z niczym nie wyróżniającego się college'u na środkowym zachodzie stała się ośrodkiem naukowym o światowej renomie.

Istnieje przesąd, że uściśnięcie jego dłoni przynosi szczęście, a ja, choć do przesądnych raczej nie należę, przychodzę tu pierwszego dnia każdego nowego semestru.

¹ tłumaczenie słów z języka szwedzkiego - Katarzyna Pajor (przyp. red.).

Kiedy chwytam za dłoń odlanej z brązu rzeźby, zalewa mnie fala trudnych do zidentyfikowania emocji. Zaciskające się w ciasnym suple wewnątrzności uświadamiają mi jednak, że zdecydowanie przeważają te negatywne.

Wakacje się skończyły, pierwszy stopień studiów psychologicznych za mną. Dziś rozpoczynam nowy etap, ale zamiast ekscytować się możliwością dalszego rozwoju i realizowania postawionych sobie celów, jestem przytłoczona myślą o tym, z czym będę musiała się zmierzyć przez najbliższe dwa lata w Bloomington. Zajęcia obowiązkowe, dodatkowe kursy, bycie na bieżąco z materiałem z każdego przedmiotu, projekty koła naukowego, napisanie pracy magisterskiej i zarabianie na życie...

Boję się, że nie dam rady. Że tym razem ilość obowiązków mnie przytłoczy.

Zdanie egzaminu klasyfikacyjnego i otrzymanie kolejny rok z rzędu stypendium naukowego były zaledwie pierwszymi krokami. Osiągnęłam sukces, ale nie potrafię się nim cieszyć, bo mimo wszystko mam wrażenie, że nie posunęłam się naprzód.

A ja lubię być na przodzie. Lubię pokonywać własne słabości i walczyć ze swoimi ograniczeniami, by później móc czerpać radość z tego, co osiągnęłam. Lubię świadomość, że to, jak potoczy się moje życie, zależy tylko ode mnie. Że jedynym, co ogranicza mnie przed sięgnięciem do gwiazd, jestem ja sama. Choć czasami – tak, jak na przykład teraz – świadomość tego potrafi być deprymująca.

Z zamyślenia wyrrywają mnie czyjeś głosy. Potrząsam w roz-targnieniu głową i zerkam na grupkę dziewczyn ubranych w białoczerwone stroje z logiem uczelni. Z ich przepelnionej ekscytacją rozmowy wynika, że tak samo jak ja postanowiły zapewnić sobie powodzenie u rektora Wellsa.

Posyłam im uśmiech, poprawiam pasek torebki przewieszonej przez ramię i ruszam z miejsca. Wciąż mam do pokonania jakieś piętnaście minut drogi. Specjalnie wyszłam dziś wcześniej

z mieszkania, żeby móc dotrzeć na wydział pieszo. Muskające moją twarz ciepłe promienie słońca i zapach powoli żegnającego się lata sprawiają, że spacer jest jeszcze przyjemniejszy, niż przewidywałam.

Przechodzę obok Wydziału Chemii oraz kilku budynków z beżowego wapienia, które wraz z pozostałymi, rozrzuconymi po całym kampusie, tworzą jednolitą architekturę, nadającą otoczeniu niezwykle unikatowego charakteru.

O wiele bardziej jednak interesują mnie ludzie, których mijam. Uwielbiam ich obserwować. A już zwłaszcza w taki dzień jak dzisiaj. Po samym wyrazie ich twarzy i malujących się na nich emocjach potrafię rozpoznać, kto dopiero rozpoczyna swoją przygodę na UI, a kto pojawił się tutaj kolejny rok z rządu, by kontynuować naukę.

Pierwszoroczni wprowadzili się do akademików w połowie sierpnia, więc teoretycznie powinni zdążyć już zaaklimatyzować się i nieco ochłonać, ale panująca na kampusie atmosfera wcale nie wskazuje na to, żeby ktokolwiek miał zamiar zacząć myśleć o powodach, dla których wszyscy tak naprawdę się tutaj znaleźli.

W końcu dopiero teraz rozpoczyna się najlepsza zabawa.

Spółeczność Uniwersytetu Indiana, przez wielu nazywana też *hoosiers*, nie bez powodu uznawana jest jedną z najbardziej rozrywkowych w Stanach. Co prawda tydzień powitalny dobiega końca, ale dziś jest piątek, więc w domach bractw i siostrzeństw studenckich zostaną zorganizowane huczne imprezy inicjacyjne. Wszyscy na nie czekają.

Lejący się hektolitrami alkohol, niosąca się ulicami Bloomington muzyka i szeroko pojęta integracja. Trochę im zazdroszczę, że dopiero wchodzi na tę drogę. Samo wspomnienie pierwszych miesięcy na studiach powoduje, że na mojej twarzy pojawia się uśmiech.

Kiedy pokonuję jedną z alejek w parku naprzeciwko swojego wydziału, unoszę głowę i przyglądam się bujnym koronom drzew, których liście już niedługo opadną i utworzą na chodnikach różnokolorowe dywany. Na boisku lekkoatletycznym po mojej lewej stronie cheerleaderki prowadzą właśnie rekrutację do swojego zespołu, a drużyna piłki nożnej odbywa rozgrzewkę na bieżni.

Przechodzę przez przejście dla pieszych, a moje spojrzenie mimowolnie podąża w kierunku sztywnego budynku Kelley School of Business, z którym sąsiaduje mój wydział. Tylko w tym miejscu na całym kampusie można spotkać grupki chłopaków, wyglądających jakby zamiast na zajęcia na uczelni wybierali się do pracy w wielopiętrowych biurowcach na Wall Street. Zawsze, nie zważając nawet na panującą na zewnątrz temperaturę, mają na sobie dwuczęściowe garnitury; zupełnie, jakby założeniem samej koszuli ryzykowali wyproszenie z zajęć. Ich elegancja, wymuskane fryzury i zdeterminowane spojrzenia sprawiają, że wiele studentek spaceruje tą okolicą tylko po to, by nacieszyć nimi oczy.

Na mnie nie robi to wrażenia, odkąd na drugim roku studiów umawiałam się ze „sztywnym Morganem”, jak miała w zwyczaju nazywać go moja najlepsza przyjaciółka. Wystarczyły dwa miesiące, bym zorientowała się, że faceci jak on nie mają do zaoferowania niczego poza ładnym opakowaniem. Ten chłopak potrafił mówić wyłącznie o sobie i jakichś ekonomicznych bzdetach, które kompletnie mnie nie interesowały. Akcje, obligacje, warranty... *bla, bla, bla*. A poza tym był beznadziejny w łóżku. I nie potrafił dojść w innej pozycji niż na misjonarza.

W chwili, gdy przekraczam próg Wydziału Psychologii, szklane drzwi w stalowej oprawie zamykają się za mną z głośnym trzaskiem. Do moich uszu natychmiast dociera szum niosących się po korytarzu rozmów. Przystaję i wysuwam telefon z torebki, żeby sprawdzić w planie salę, w której mam pierwsze zajęcia.

Kiedy okazuje się, że wykłady z psychopatologii odbywają się w auli, mam ochotę odetchnąć z ulgą, bo w odróżnieniu od małych sal ćwiczeniowych tam można poczuć się swobodnie.

Przemykam przez hol, rozglądając się za znajomymi twarzami. Nikt jednak nie zwraca mojej uwagi. Gdy pokonuję schody, do moich uszu niespodziewanie dociera czyjeś wołanie.

– Briana! – Staję w miejscu i odwracam głowę w stronę, z której dochodzi nieco stłumiony głos. Evan wyłania się z tłumu, a nasze spojrzenia się krzyżują. Chłopak posyła mi uśmiech, co natychmiast odwzajemniam. – Tak myślałem, że to ty. Dobrze cię widzieć!

– O, hej, Evan! – Rozkładam ramiona i witam się z nim delikatnym uściskiem. – Ja też się cieszę, że cię widzę. Myślałam, że przez cały dzień do nikogo się nie odezwę.

Schodzimy na bok, by nie zastawiać drogi studentom, którzy mkną przed siebie, przeskakując wzrokiem od drzwi do drzwi w próbie odnalezienia interesującego ich numeru sali.

Opieram plecy o balustradę i zaczynam przyglądać się uważnie Evanowi. Poza wyraźnymi piegami na nosie i policzkach oraz skórą, delikatnie muśniętą letnimi promieniami słońca, przez te trzy miesiące w jego wyglądzie nic się nie zmieniło.

– Istne szaleństwo, co? – pyta, rozglądając się po zatłoczonym korytarzu. – Daję im góra dwa tygodnie, a później przynajmniej połowa przestanie pokazywać się na wykładach, które nie są obowiązkowe.

– Jak zawsze – wzdycham ciężko. – I szczerze mówiąc, już nie mogę się doczekać. Wolę, gdy panuje tu cisza. Ale lepiej powiedz, co u ciebie. Jak minęły ci wakacje?

– Tak intensywnie, że prawie w ogóle ich nie odczułem. Codziennie od rana pomagałem ojcu w robocie papierkowej, a w weekendy organizowałem warsztaty dla weteranów. – Wzrusza ramionami, zaczesując w górę jasnobrązowe włosy, których kosmyk opadł mu na czoło. – A tobie jak minęło lato?

– Szybko – stwierdzam niezadowolonym głosem. – Do domu udało mi się wyjechać właściwie tylko na dwa tygodnie. Pracowałam, trochę się uczyłam... Może mnie odprowadzisz? – proponuję, na co ten przytakuje skinieniem głowy.

Odpycham się od barierki i ruszam przed siebie wolnym krokiem. Evan idzie tuż przy moim boku. Nie zmusza mnie do kontynuowania swojej wypowiedzi, co zdecydowanie mi odpowiada.

Poznaliśmy się rok temu, gdy prowadzący połączył nas w parę na zajęciach z procesów poznawczych. Szybko okazało się, że myślimy w podobny sposób i choć zazwyczaj wolałam realizować projekty w pojedynkę, wtedy z jakiegoś niezrozumiałego powodu po raz pierwszy poczułam, że nie tylko mogę polegać na kimś jako na swoim partnerze, ale również, że tym razem współpraca nie skończy się opracowywaniem nieswoich zagadnień na kilka godzin przed ostatecznym terminem oddania projektu. Intuicja mnie nie myliła, a nowa znajomość została przypieczętowana piątką wystawioną przez profesora na ostatnich ćwiczeniach.

Później, w semestrze letnim, trafiliśmy razem na kurs z psychologii społecznej, więc od razu zajęliśmy miejsca obok siebie. Gdy któreś z nas nie mogło pojawić się na wykładzie, drugie dzieliło się z nim swoimi notatkami, a przed egzaminem spędziliśmy razem dużo czasu w bibliotece uniwersyteckiej.

Lubię Evana. Jest konkretny i bezkonfliktowy. Nasze rozmowy rzadko odbiegają od tematów związanych z tym, co akurat dzieje się na uczelni. Nie piszemy do siebie po zajęciach i nie wychodzimy razem na imprezy, ale nawet mimo to, gdy już wpadamy na siebie na wydziale, czuję się przy nim komfortowo.

– Cała biblioteka dla siebie przez bite trzy miesiące... – oznajmia z rozmarzoną miną chłopak, sprowadzając mnie z powrotem na ziemię. – Nic tylko pozazdrościć.

– Tak się składa, że ograniczyłam swoje wizyty w bibliotece, kiedy po jakimś czasie pani Aldridge zaczęła się zachowywać,

jakbyśmy byli przyjaciółkami. – Evan zerka na mnie wyraźnie rozbawiony, a widoczne w jego oczach zaciekawienie sprawia, że postanawiam kontynuować. – Czasami zdarzało się, że jeszcze nawet nie zdążyłam rozłożyć na stole podręczników, a ona już zjawiała się przy nim z dwoma kubkami kawy i zamiast dać mi się skupić na nauce, zaczynała opowiadać o swoich nieudanych randkach. Nie wiem, dlaczego uznała, że mnie to interesuje, ale głupio byłoby mi kazać jej spieprzać. W końcu od zawsze odkładała dla mnie wszystkie książki, o które ją poprosiłam. – Chłopak zaciska usta w wąską linię, jakby próbował się nie roześmiać. – To nie jest zabawne – upominam go w chwili, gdy całe jego ciało zaczyna drżeć od tłumionego śmiechu.

– Przepraszam. Po prostu chwilę temu twierdziłaś, że przez te trzy miesiące nie wydarzyło się nic ciekawego, a teraz okazuje się, że zaprzyjaźniłaś się z panią Aldridge... – Piorunuję go spojrzeniem, na co unosi ręce w geście obronnym. – Dobrze, zmienmy temat. Zaręczyłem się ze Stephanie – oznajmia nagle, kompletnie mnie tym zaskakując.

– To fantastycznie! Gratuluję! – Posyłam mu kolejny promienny uśmiech.

O jego dziewczynie wiem tylko tyle, że na co dzień studiuje jakiś kierunek przyrodniczy na Uniwersytecie w Minnesocie. Biotechnologia? A może mikrobiologia? Nie mam pojęcia. Zakochał się w sobie na początku liceum, a później wyjechali na uczelnie położone w dwóch różnych stanach i choć przez większość roku dzieli ich od siebie ponad tysiąc dwieście kilometrów, tworzą związek na odległość, który najwidoczniej im służy.

– Planujecie już ślub? – pytam.

– Nie, raczej zaczekamy z tym do końca studiów. A przynajmniej taki był plan. Nie wiem tylko, czy nic się nie zmieniło, bo ostatnio przyłapałem Steph na przeglądaniu różnych lokalizacji ślubnych w Green Bay... Zresztą, nieważne. – Potrząsa głową,

urywając temat. – Gdzie masz zajęcia? Idziemy w tym samym kierunku, w którym ja zamierzałem się udać.

– W auli.

– Żartujesz? – Przystaje, przez co ja również się zatrzymuję.
– Psychopatologia? – upewnia się, a ja kiwam głową na potwierdzenie. – Czyli siedzimy w tym głównie razem!

Robię wielkie oczy, bo kompletnie nie spodziewałam się, że ktoś poza mną zdecyduje się na zrealizowanie tego kursu w semestrze zimowym. A już na pewno nie przewidziałam, że będzie to Evan. Co za ulga, że nie będę w tym wszystkim sama.

Chociaż, gdy teraz się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że chyba nigdy nie rozmawialiśmy o swoich planach związanych z magisterką. Jak dotąd wiedziałam jedynie, że chłopak zostaje w Bloomington, by kontynuować naukę na kolejnym stopniu.

– Naprawdę? – pytam zdziwiona.

– Owszem. – Zerka na zegarek owinięty wokół swojego nadgarstka, po czym sięga do kołnierzyka beżowej koszuli i delikatnie za niego pociąga, starając się go poluźnić. – Chodźmy. Nie chcę wylądować w pierwszym rzędzie i przez trzy godziny skupiać się wyłącznie na tym, by nie spotkać się spojrzeniem z profesorem Learley.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi... Przecież to urocza, starsza pani – parskam, omijając grupę osób, która stanęła nam na drodze.

Chłopak spogląda na mnie ze zde gustowaną miną i mówi:

– Tak samo urocza jak Dolores Umbridge z filmów o *Harrym Potterze*. Właściwie, to nawet są do siebie trochę podobne.

Nie mogę się powstrzymać i chichoczę pod nosem.

– Jestem pewna, że tak samo jak w przypadku Umbridge, kolorowe garsonki Learley są celową zagrywką. Widzisz ją ubraną w ten wściekły róż i automatycznie zaczynasz sobie wmawiać, że kobieta wyglądająca jak ona nie może być szkodliwa.

– A później rozpoczyna wykład i masz ochotę wyskoczyć przez okno.

– Evan... – wzdycham, gdy ten otwiera przede mną drzwi do auli. – Przestań rozsiewać panikę, bo inaczej usiądę tak daleko od ciebie, jak to możliwe.

Maszerujemy po schodach w kierunku dwóch wolnych miejsc w jednym z przedostatnich rzędów, a później zaczynamy się przeciskać przez przygotowujących się do zajęć studentów, mamrocząc pod nosem ciche przeprosiny.

– A tak właściwie, dlaczego zdecydowałaś się realizować ten przedmiot już teraz? – Evan opuszcza siedzisko jednego z krzeseł i siada na nim.

Zajmuję miejsce obok niego i jakiejś dziewczyny z ciemnymi lokami, która w ogóle nie zwraca na mnie uwagi.

– Miałam zapytać cię o to samo.

– Byłem pierwszy – oznajmia z satysfakcją, rozkładając na stole przed sobą swój komputer. – Więc?

– Po prostu uznałam, że dzięki temu w przyszłym semestrze będę miała więcej czasu, żeby skupić się na pisaniu pracy dyplomowej. – Odkładałam torbę na podłogę, po czym wyciągam z niej laptopa, odkładam go na blat i otwieram klapę.

Tak naprawdę nie miałam innego wyjścia. Nawet pomimo stypendium naukowego w przyszłym semestrze nie dałabym rady pokryć kosztów obowiązkowych przedmiotów i dodatkowych fakultetów, na których mi zależy. Teraz też będzie mi ciężko, ale dzięki nadgodzinom w klubie jakoś powinnam dać sobie radę. A przynajmniej taką mam nadzieję.

– To tak samo jak ja – przyznaje Evan, ogarniając wzrokiem zapelniającą się aulę. Grymas na jego twarzy wskazuje, że wolałby się znaleźć w tej chwili gdziekolwiek indziej. – Dobrze, że wpadliśmy na siebie przed salą, bo istnieje ryzyko, że inaczej moglibyśmy się w ogóle nie zorientować, że uczęszczamy na te same zajęcia.

Ja też wolałabym stąd zniknąć. Psychopatologia nie bez powodu uważana jest za jeden z najtrudniejszych przedmiotów na naszym kierunku. Nie dość, że w cztery miesiące trzeba nauczyć się całego, pięciusetstronicowego podręcznika na pamięć, to w dodatku konieczne jest zrozumienie wszystkich omówionych w nim pojęć, by móc później o nich swobodnie dyskutować na zajęciach ćwiczeniowych.

– Jaki kolor garsonki dziś obstawiasz? – pyta po chwili chłopak, stukając nerwowo długopisem o drewniany stolik.

– Zielony – odpowiadam bez przekonania, poprawiając oprawki okularów, ponieważ zsunęły mi się z nosa. – Wyrażający nadzieję. Pewnie liczy, że tym razem trafi się jej inteligentniejsza grupa. Słyszałeś, że w poprzednim semestrze z ponad stu pięćdziesięciu osób kurs ukończyło tylko pięćdziesiąt osiem?

Evan błędnie, co samo w sobie daje mi odpowiedź.

– Dzięki, Bri – burczy pod nosem, chowając twarz w dłoniach. – Teraz mi lepiej.

– Wyluzuj. Miałeś jedną z najwyższych średnich na roku, więc i tym razem sobie poradzisz – pocieszam go, a następnie skupiam się na ekranie laptopa. Tworzę dokument tekstowy, w którym zamierzam spisywać wszystkie najważniejsze kwestie z dzisiejszego wykładu.

Kiedy nagle do moich uszu dociera głośnie trzaśnięcie drzwiami, automatycznie unoszę głowę. Rozmowy cichną, a wzrok wszystkich osób zgromadzonych w sali kieruje się na mężczyznę, który właśnie bez słowa wkroczył do środka.

Z jakiegoś niezrozumiałego powodu atmosfera w auli w ułamku sekundy staje się potwornie napięta. Jakby obecność nieznanego wyssała z niej całe powietrze.

Mija chwila, nim orientuję się, że zmierza on w stronę podestu, gdzie znajduje się mównica prowadzącego. *A gdzie profesor Learley?* Mój kark oblewa zimny pot.

– Kto to jest? – szepcze Evan, wypowiadając na głos pytanie, które prawdopodobnie siedzi teraz w głowie wszystkich studentów. – Ten facet nie wygląda na kogoś, kto gustuje w kolorowych garsonkach...

Ten facet wygląda, jakby diabeł zesłał go tutaj z samego piekła.

Czerń przylega do każdego fragmentu jego skóry. Zapięta na przedostatni guzik, przylegająca do umięśnionego torsu czarna koszula. Elegancki krawat. Opinająca ramiona i szerokie plecy marynarka. Skórzany pasek wsunięty w szlufki garniturowych spodni zwisających z jego wąskich bioder i trzymana w prawej dłoni teczka. Aż w końcu ciemniejsze od atramentu włosy – tak gęste, że nawet użycie mocnego kosmetyku nie utrzymałoby ich w ryzach. Wpadające do sali promienie słońca odbijają się od ich kosmyków, a ja mam wrażenie, że pomimo swojego wyglądu mężczyzna staje się najjaśniejszym punktem w pomieszczeniu. Zawłaszczył sobie całą przestrzeń i uwagę wszystkich, choć jeszcze nawet nie odezwał się słowem.

Facet podchodzi do biurka i pochyla się nad nim. Zgrabnym ruchem chwyta za suwak swojej torby i ją rozpiną. Powoli. Jakby dawał nam więcej czasu na oswojenie się z nową sytuacją. Albo ostrzegał przed nadchodzącą katastrofą.

Wyciąga z niej laptopa, opiera jedną dłoń po jego lewej stronie, a palcem drugiej zaczyna przesuwać po dotykowym panelu, wciąż nie obdarzając nawet krótkim spojrzeniem grupy ludzi, która wpatruje się w każdy jego ruch jak zahipnotyzowana.

Gdy w końcu unosi głowę, nie jestem w stanie stwierdzić, jak wiele czasu minęło, odkąd wszedł do auli. Mogła to być minuta, dwie, a może piętnaście. Dopiero wtedy dostrzegam, że jego oczy okalają przezroczyste szkła w cienkich, złotych oprawkach. I choć z tej odległości nie potrafię rozpoznać koloru tęczówek, mam wrażenie, że jego spojrzenie przesywa mnie na wylot. By od niego uciec, przesuвам wzrok niżej na ostre linie szczęki,

zauważając, że zdobi ją równo przystrzyżony zarost, wargi zaciśnięte w cienką linię oraz...

Nagle na projektorze wyświetla się pierwszy slajd prezentacji. Drukowane litery układają się w nazwę przedmiotu, który mieliśmy realizować z profesor Learley, oraz nieznanne mi imię i nazwisko.

Kiedy ponownie przenoszę wzrok na mężczyznę, on stoi już przy mównicy. Maca palcami mikrofon w poszukiwaniu włącznika. Wiem, co zaraz powie, ale i tak wstrzymuję oddech aż do momentu, gdy z jego ust wydostają się pierwsze słowa.

– Nazywam się Reed Easton i w tym semestrze poprowadzę dla was wykłady z psychopatologii.

Cisza, jaka zapanowała w sali wraz z przekroczeniem przez niego progu, nagle zostaje zakłócona przez szepty i dźwięki nerwowego poruszania się w miejscu.

Zerkam kątem oka na siedzącą obok mnie brunetkę, która chwilę wcześniej odłożyła na kolana swoje ogromne słuchawki. Gdy do moich uszu docierają wciąż wydobywające się z nich brzmienia *Highway To Hell* AC/DC, kąciaki ust mimowolnie unoszą mi się w górę, nie zważając nawet na szalejący w żyłach niepokój.

Mam wrażenie, że los właśnie sobie ze mnie zakpił.

I'm on the highway to hell

On the highway to hell

Highway to hell...

– Pani profesor Learley postanowiła udać się na wcześniejszą emeryturę. Od teraz będzie pojawiać się na wydziale jedynie na gościnnych wizytach. Poczuliście ulgę? – Z jego ust wydobywa się gardzące parsknięcie. – Nie powinniście. Bo jeżeli jeszcze nie jesteście zawiedzeni tym obrotem spraw, to mogę wam obiecać, że już za parę chwil będziecie – ostrzega niskim, zachrypniętym głosem, przez który wszystkie włosy na moim ciele stają dęba. – Mam nadzieję, że wakacje poświęciliście na naukę, a te-

raz... – przerywa, gdy drzwi od auli się otwierają, a do środka wpada spóźniony student. Chłopak nawet nie zwraca uwagi na to, kto stoi na podeście, tylko szybkim krokiem rusza w kierunku schodów.

– Zatrzymaj się. – Profesor Easton wydaje surowe polecenie, na co blondyn w koszuli w kratę zatrzymuje się w połowie kroku i zaczyna powoli odwracać się w kierunku mównicy. Stojący za nią mężczyzna unosi rękę i spogląda na zegarek oplatający jego nadgarstek, po czym wraca spojrzeniem do swojej ofiary.
– Pięć minut spóźnienia – oznajmia rozczarowany.

Kładzie dłonie na drewnianym blacie przed sobą, a kształtne mięśnie jego ramion napierają na materiał marynarki. Mam wrażenie, że z ust dziewczyny siedzącej po mojej prawej wydostaje się ciche sapnięcie, ale jestem zbyt zaabsorbowana śledzeniem dziejącego się na moich oczach przedstawienia, żeby mieć pewność, czy przypadkiem się nie przesłyszałam.

– Wyjdź z sali. – *Kolejny rozkaz.* Ostry. Stanowczy. Bezdyskusyjny. – I nie każ mi się powtarzać. Nie chciałbym cię wyrzucić również z kolejnego wykładu. A później z jeszcze następnego.

Co za bezczelny cham – przechodzi mi przez myśl w chwili, gdy zdezorientowany blondyn z przewieszonym przez jedno ramię plecakiem schodzi po schodach, a później bez słowa wymaszerowuje z pomieszczenia.

– A teraz... – Profesor Easton krzyżuje ręce na klatce piersiowej, a przez jego przystojną twarz przemyka cień zadowolenia.
– Wyciągnijcie kartki. Klasyfikacja DSM-5². Rodzaje zaburzeń lękowych. Macie dziesięć minut.

Że co, kurwa?

Moje tętno szaleje, a dłonie zaczynają się pocić.

Zamiast wyrywać w pośpiechu kartki z notatników, wszyscy siedzą jak sparaliżowani i wpatrują się z szeroko otwartymi oczami

²DSM-5 (Diagnostic and Statistical Manual of Mental Disorders) – aktualnie obowiązująca klasyfikacja zaburzeń psychicznych Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego (przyp. aut.).

mi w mężczyznę, który zamierza zmienić pierwszy semestr naszych studiów magisterskich w piekło, i nawet się z tym nie kryje.

– Kartkę? A skąd ja mam wziąć kartkę? – pyta bezmyślnie ktoś siedzący w jednym z pierwszych rzędów, a przytłaczająca cisza oraz akustyka auli sprawiają, że skołowany głos dociera do wszystkich w niej obecnych.

– Gównu mnie obchodzi, na czym to napiszecie. Możecie użyć nawet kawałka papieru toaletowego – wtrąca Easton. – Zostało wam dziewięć minut i ani sekundy dłużej.

Opuszczam wzrok na swoje dłonie i uświadamiam sobie, że ściskam je nerwowo między udami. Myśli tworzą w mojej głowie chaos, a oddech jest kompletnie rozdygotany.

– Masz. – Evan wysuwa w moją stronę czystą kartkę w kratkę. – Wygląda na to, że zamiast Umbridge dostaliśmy Snape'a – stwierdza niepoczyszony, podciągając po same łokcie rękawy swojej koszuli. – Wciąż jesteś taka pewna, że sobie poradzimy?

Nie odpowiadam. Nie jestem w stanie.

Zamiast tego łapię za długopis, ale zanim pochylę się nad swoją kartką, jeszcze raz przenoszę spojrzenie na odziane w ciemny garnitur źródło kłopotów, z którymi będę musiała się zmierzyć w nadchodzącym semestrze.

Mężczyzna wygina usta w nieznośnym uśmiechu, a ja nie potrzebuję dokonywać żadnej skomplikowanej analizy, by wiedzieć, że czerpie satysfakcję z przewagi, którą nad nami posiada. Każdy jego oddech jest dla nas ostrzeżeniem.

To dopiero początek.

Będziecie działać zgodnie z moimi zasadami albo jedyne, co po was pozostanie, to wolne miejsce na tej sali.

Niechęć do mnie zmiesza się z podziwem.

Ja tu, kurwa, rządę.

Kto by się spodziewał, że to akurat ja będę osobą, która znajdzie sposób, by uzyskać przewagę nad nim?